

Boska okropna Janda

Grając „najgorszą śpiewaczkę świata”, Krystyna Janda puszcza oko do krytyków przepowiadających jej klęskę finansową i artystyczną

SPEKTAKL

„BOSKA!” PETERA QUILTERA

REŻYSERIA ANDRZEJ DOMALIK

scenografia Dorota Kolodyńska,
występują: Krystyna Janda, Maciej Stuhr, Wiktor Zborowski, Anna Iberszer, Krystyna Tkacz, Ewa Telega, premiera 27 kwietnia
Teatr Polonia w Warszawie

JOANNA DERKACZEW

Od podniesienia kurtyny z każdą chwilą jest gorzej. Scenografia kiczowata, jak w prowincjonalnej grzybudzie, gra aktorska na granicy skandalu, kreacje o psychodeliczno-bieliznianych kolorach toną w tiulach, turniurach, dżetach, żorzetach. Ale to drobiazgi. Prawdziwy koszmar ma się dopiero zacząć. Słychać kilka czystych dźwięków fortepianu (w niezłym wykonaniu Macieja Stuhr), a potem pozostają już tylko modły o nagłą utratę słuchu - Florence Foster Jenkins (Krystyna Janda) śpiewa. Enrique Iglesias bez playbacku, tuzin wrzeszczących dzieciaków w zatłoczonym autobusie - nie nie umywa się do popisu „najgorszej śpiewaczki świata”.

Madame Jenkins (1868-1944) była operowym Nikodemem Dyzmą lat 30. i 40. Wystarczająco przekonana o swoim talencie i wystarczająco bogata, by go osobiście sponsorować. Florence dawała w Stanach najbardziej niezapomniane recitale swoich czasów. W tych występach ofiarami padały nie tylko nuty, tonacje i tempa. Jenkins dobijała utwory absurdalną interpretacją, antychoreografią i strojami-hybrdami.

Korpulentna matrona (prawdźwą „kariere” zaczęła po czterdziestce, dzięki spadkowi po ojcu) nie krępowala się stawać przed widzami w sukieneczynie i czepku pastereczki, w girlandach sztucznych kwiatów, w hiszpańskiej kreacji-monstrum, skrzydłach „aniola inspiracji” albo w kostiumie Brunhildy. To, że drobiazgi pokracznie po scenie, potykała się nieustannie o falbany i treny, wcale jej nie zrażało. Florence była z siebie dumna - w końcu dawała światu tyle radości.

Z tego złudzenia nie wytrącali jej ani widzowie (wprawdzie przez cały wieczór tarzali się ze śmiechu, ale potem wołali o bisy), ani krytycy (zwykle obchodzili się z nią łagodnie jak z lunatyczką), ani najbliżsi: akompaniator Cosme McMoon (Maciej Stuhr), aktor i życiowy partner Clair Bayfield (Wiktor Zborow-



BARTOSZ BOBKOWSKI

Krystyna Janda przebija wszystkie aktorki, które mogłyby zagrać dziwną diwę

ski), przyjaciółka Dorothy (Krystyna Tkacz).

W „Boskiej” Petera Quiltera na scenie Teatru Polonia śledzimy ją w ostatnich latach życia - od nawiązania współpracy ze swoim dwudziestym akompaniatorem aż do koncertu w Carnegie Hall poprzedzającego o miesiąc jej śmierć.

Reżyser potraktował świat Jenkins tak konsekwentnie, że nie pozostawił na scenie ani jednego elementu, który miałby jakąkolwiek wartość artystyczną. Tylko Stuhr - narrator, jedyny świadomy groteskowości sytuacji - pozostanie stonowany w cieniu szalejących „gwiazd”. Zborowski po kabotyńsku gra kabotyńca, Tkacz w desperackim slalomie od mebla do mebla popisuje głosem pijanej idiotki.

Ich luz i kompletny brak uważania na kanony przebija jednak główna bohaterka. Egzaltacja w przygotowaniach do recitali, egzaltacja w życiu domowym, egzaltacja w studiu nagrań - wszystko to wydaje się tak niewiarygodnie szalone, niesmaczne, pozbawione hamulców złego smaku, że w końcu zaczyna fascynować. A co ważniejsze - bawić. W pewnym momencie nawet najwięksi obrońcy zasad muszą zarechotać w rękaw pod wpływem tej z życia wziętej farsy.

Wybierając jedną z trzech sztuk napisanych o Florence, Janda przebija wszystkie aktorki, które kiedykolwiek mogłyby zabrać się do roli dziwacznej diwy. I nie idzie tylko o śpiew, choć aktorka fałszuje fenomenalnie. Aby wykonać tyle rytmicznych i tonalnych błędów, potrzebne jest chyba gruntowne wykształcenie muzyczne.

Ale w końcu artystka nie po raz pierwszy gra śpiewaczkę (ma już za sobą wcielenia Marii Callas czy Marleny Dietrich). Nie chodzi też o efekt sceniczny, jaki wywołuje, zawodząc, drepcząc czy rzucając kwiatami z rozbrajającym uśmiechem dziecka, które właśnie upchnęło do stacji dyski-tek całą porcję budyniu.

Janda ma przede wszystkim niepowtarzalną pozycję do potraktowania roli autoironicznie. Jenkins zrujnowała się na występ w Carnegie Hall. Janda postawiła swój własny teatr. Jenkins krytyczne głosy traktowała zawsze jako ujadanie ignorantów albo „profesjonalną zazdrość”. Janda co chwila puszcza w spektaklu oko do krytyków, którzy jej przepowiadali plaję finansową i artystyczną. Jenkins spełniła swoje sny o karierze, Janda nadal porywa się na rzeczy niemożliwe.

Katarzyna Kozyra, przygotowując się trzy lata do roli diwy, realizowała projekt „In Art Dreams Come True” („W sztuce marzenia się spełniają”). „Boska!” także krąży wokół tematu marzeń, ale traktuje go bardziej nonszalancko i optymistycznie. Nie trzeba poddawać się tresurze, reżimowi ćwiczeń, nie trzeba mieć talentu. Wystarczy pragnąć. I spełniać się pomimo krytyki; brać udział w imprezach karaoke, występować w „Idolach”, malować impresjonistyczne akwarele, tańczyć, lepić świeczniki.

I tu oczywiście pojawia się nieodzowne pytanie - czy bardziej potrzebne nam 6 mld ludzi spełnionych, odstresowanych, zadowolonych z życia, czy raczej świat, który nie będzie jednym wielkim, radosnym kiczem. ●